

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

12

Mamy zadanie daleko łatwiejsze do spełnienia. Musimy wykazać, że pomimo pozorów i uprzedzeń, pomimo faktów wystawionych na naszą niekorzyść — nie mogliśmy popełnić zbrodni, o którą nas oskarżają. Powiemy jeszcze więcej. Nie mieliśmy nawet materialnej możliwości jej spełnienia.

Nie będziemy roztrząsać wcale realności faktów, na których oskarżenie i inni jeszcze — dodał adwokat, zwracając się do ławy przysięgłych — opierają się, aby udowodnić nam winę. Nie, panowie przysięgli, to, nad czym dyskutować chcemy, to nie fakta, ale konkluzja, którą z nich wyciągnąć pragniemy.

Nie wystarczającym jest wykazać istnienie przyczyny, mogącej doprowadzić nas do zhańbienia się zbrodnią. Nie wystarczającym jest również wykazanie, że mogliśmy się znajdować na miejscu, gdzie zbrodnia spełniona została w owym dniu fatalnym. To, co powinno być ujawnione, panowie, i co dotąd ujawnionem nie zostało, że byliśmy tam w samej chwili, w której ofiara śmierć znalazła. Raz jeszcze powtarzamy, nie rozbieramy wartości zeznań odebranych.

Przyznajemy, że znajdowaliśmy się w wielkiej potrzebie pieniężnej, wówczas, kiedy ten napad barbarzyński miał miejsce. Przyznajemy również, że byliśmy w Sydney w okolicznościach obciążających nas, a które opisane zostały tak dokładnie. Ale motyw tego przybycia był inny. Przybyliśmy, aby nakłonić panią Clemmens do wręczenia nam przed czasem sumy potrzebnej. Nie zaprzeczamy, iż otrzymaliśmy od miss Darnell schadzki, o której była mowa, jak również, że treść naszej rozmowy była ta, jaka tu powtórzoną została.

Przyznajemy, że wsunęliśmy na palec miss Darnell pierścionek, który zdjęła natychmiast, prosząc o jego odbiór, na co nie chcieliśmy się zgodzić.

Nie zaprzeczając słowom miss Darnell, twierdząc, że pierścionek ten wsunęła do kieszeni płaszcza, oznajmiamy, że nie zdajemy sobie konkretnej sprawy z tego gestu. Przypominamy sobie tylko, że odsunęliśmy rękę, wyciągniętą do nas z pierścieniem. Prawdą jest zupełna, iż spędziliśmy noc 27. listopada w szopie węglarzy, jakoteż, że pozostaliśmy tam aż do następnego poranka. Ale fałszywem, z gruntu fałszywem jest twierdzenie, iż materialnie niemożliwem, tak, jak to udowodnimy zaraz, żeśmy zbrodniczą rękę podnieśli na panią Clemmens.

Napad ten oczywiście mógł mieć miejsce po godzinie dwunastej mniej więcej minut dziesięć, godzinie, w której nieszczęśliwa nasza krewna widziana była jeszcze w pełnym zdrowiu, przez osobę, która fakt ten zeznała tutaj.

Otóż oskarżenie dowiodło, że wsiedliśmy do pociągu na stacyi Monteith o godzinie pierwszej minut ośmnaście. Dowiedzionem także zostało, że, aby się dostać do owej stacyi, wybraliśmy drogę leśną, najkrótszą, jaka się nam nasunęła.

Nie było jednak wymienionem w akcie oskarżenia, panowie, a co obowiązkiem naszym jest przypomnieć, że droga, o której mowa, jest bardzo ciężka i trudna do przebycia, że jest zasiana rozlicznymi przeszkodami i nie nadaje się do szybkiego biegu. Z drugiej strony zaś, pomimo okrażań licznych, nie można z niej zboczyć ani na chwilę, zważywszy na bagnisty teren, przez który się ciągnie.

Rezultat tych zastrzeżeń jest taki, panowie, że czas, zużyty do przebycia tej drogi aż do końca, przechodzi o wiele minut okres przypuszczalny od chwili popełnienia zbrodni do godziny, w której stanęliśmy na dworcu w Monteith. Usłyszysz panowie w tym względzie zdania dwóch fachowych biegaczy, zawezwanych z Nowego Yorku. Zeznania tych ekspertów, znanych ze zwinności i szybkiego biegu, wykazują jasno, że, wsiadłszy na pociąg w Monteith o godzinie pierwszej minut ośmnaście, niemożliwem jest, abyśmy mogli się znajdować na miejscu zbrodni w chwili, w której pani Clemmens napadnięta została.

Takim jest, panowie, fakt materialny, niezbity, na którym opiera się nasza obrona. Nie wątpię, że dowód, jaki ci panowie przedstawia, stanowić będzie o natychmiastowem uwolnieniu oskarżonego! Skończyłem.

Pan Ormond, wypowiedziawszy tę przemowę, zajął swoje miejsce pośród dyskretnych oklasków zasiadającego audytoryum. Ponieważ godzina była już dosyć późna, prokurator zawiesił dalszy ciąg rozprawy na dzień następny.

Próba przeciwna.

— Byrd, ma pan minę człowieka, który spadł z niebiosów.

— Nie dziwię się temu wcale.

— Co pan myśli o końcu tej obrony? Bo ja, do prawdy, polapać się jeszcze w niej nie mogę.

— Zaczynam wierzyć, że jest dobrą — odpowiedział Byrd z lekkim wahaniem w głosie.

— Teraz dopiero?

— W pierwszej chwili wszystko to wydało mi się bląhem. Byłem tak głęboko przekonany o winie Morgana, że wszystkie dowody opinii, przeciwnej mojej, wydawały mi się nedoręczne. Ale im więcej się nad tem zastanawiam, tem łatwiej dochodzę do wniosku, że niepodobieństwem jest przebież wymienioną przestrzeń w półtorej godzinie.

Na twarzy Hickoryego pojawił się ironiczny uśmiech.

— Co się z panem działo podczas przemowy pana Ormond? — zapytał złośliwie. — Trzeba było patrzeć na niego, do diabła!

— Tak też robiłem. A pan?

— Ja patrzałem na jedyną osobę, godną uwagi, z twarzy której mogłem wyczytać wiele ciekawych rzeczy.

— Na kogóż to?

— Na miss Darnell, oczywiście.

— I tym sposobem dowiedział się pan?... — syknął ze złością Byrd.

— O dwóch rzeczach.

— Doprawdy?

— Tak jest. Najprzód, że zarówno tak, jak i my, nie wiedzieliśmy wcale, co mówić będzie pan Ormond. Następnie, że uznała rozumowanie adwokata bardzo przebiegłym, ale nie uwierzyła w nie wcale.

— Eh!

— Jest tak, jak pan umówię. Gdyby była obnażona z treści obrony, to byłaby przedewszystkiem zwróciła swoją uwagę na wrażenie, jakie ona wywarła na ludziach, mających prawo decydować o losie jej narzeczonego. Byłaby więc skierowała swoje spojrzenie na sędziów przysięgłych — a tymczasem...

— Co tymczasem?

— Tymczasem, tak, jak i pan, nie spuszczała wzroku z obrońcy, śledziła każde jego słowo, każdy ruch z gorączkowem wzruszeniem, aż do chwili, w której zrozumiała argumenty, przedstawione przez niego.

— No i cóż dalej?

— Zamiast okazać wówczas ulgę jakąś, radość kobiety, słyszającej uniewinnienie kochanego człowieka, ona spuściła oczy i przybrała tak, jak na początku, nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Więc pan wnosi z tego?

— Że miss Darnell wie więcej, niż powiedziała.

— Nie sądzę.

— Przekonamy się wkrótce. Jeżeli panu Ormond nie uda się dowieść katorycznie tego, co przedstawiał, to wszystko pójdzie dobrze, to jest źle dla oskarżonego, ale w razie przeciwnym, jeżeli się okaże, że miał słusność, to podsunę panu Ferris jedno zapytanie do postawienia tej pannie.

— Jakież to?

— Gdzie ona sama znajdowała się w dniu zbrodni.

— Zdaje mi się, że przepędziła ten poranek w obserwatorium willi Darling — zauważył Byrd, lekko wzruszony.

— Takie wyjaśnienie dała mi służąca profesora, ale dowiedziałem się później, że miss Darnell musiała się tam sama znajdować, bo profesor Darling był tego dnia trochę cierpiący i nie zszedł wcale do laboratorium.

— Czy nie zapytał pan, o której godzinie wydała się stamtąd?

— Owszem, zapytałem. Przecież po to tam tylko się udałem. Otóż dowiedziałem się, że około dwunastej już jej tam nie było. Służąca profesora, Maryeta, o tej porze udała się na górę, aby się dowiedzieć, czy pozostanie na śniadaniu i już jej nie zastała. Musiała zejść schodami wieżyczki, które prowadziły prosto do ogrodu.

Po tych słowach Hickoryego, twarz Byrda zachmurzyła się dziwnie.

— A więc, kiedy myślano, że znajduje się tam na górze? — zaczął powoli.

— Ona prawdopodobnie biegła po lesie — zakończył Hickory z naciskiem.

— Hickory! — wyrzekł nagle Byrd stanowczym głosem. — Nie trzeba dopuścić, aby pan Ormond dowiódł, iż ma słusność.

— Jakże mu tego możemy zabronić? — uśmiechnął się niedowierzająco Hickory.

— Mam nadzieję wykazać, podejmując się sam tej czynności, że niepodobieństwem jest odbyć drogę, wiodącą z Białego Domku do dworca w Monteith,

w mniejszym okresie czasu, niż godzina i dwadzieścia pięć minut.

Hickory z politowaniem spojrzał na wąską pierś Byrda i pokiwał głową.

— Pan tego nie potrafi dokonać — rzekł z przekonaniem. — Do tego trzeba mieć szerokie piersi i potężny oddech! Będzie pan zmęczony, zanim pan jeszcze wyjdzie z lasu. To ja się podejmę tej roboty!

— Pan?

— Naturalnie. Forsowne biegi, to moja specjalność, tak, jak specjalnością pana są rysunki. Pokażę panu kiedyś medale, jakie otrzymałem na podobnych wścigach pieszych. Jeżeli nie przybędę na czas oznaczony, to będzie jasne, że rzecz ta nie jest do wykonania.

— A więc zgodziłby się pan na tę próbę?

— Bez namysłu!

— Jutro rano?

— Przed otwarciem rozprawy. Jeżeli nie wrócę na czas, zatrzyma pan moje miejsce!

— Oczywiście. Życzę panu szczerze powodzenia. Rzecz jest dosyć ryzykowna.

Hickory nie odpowiedział i zamyślił się głęboko.

— Co to jest? — myślał silnie zaabsorbowany. —

Kilka dni temu Byrd byłby głowę swoją oddał za Morgana, a teraz gotów na wszystko, aby dowieść jego winę. Ciekawy jestem, co się w tem kryć może?

— Hickory! — przerwał milczenie Byrd. — Pan Ormond musi być bardzo pewnym siebie, jeżeli powziął ten system obrony.

— Tak sądzę.

— Musiał się posłużyć dobrymi biegaczami. Jeżeli więc pan chce, aby się ta próba udała, to powinien pan przedtem jeszcze zapoznać się z drogą do przebycia i przeszkodami, jakie pan znajdzie.

— Znam je dostatecznie.

— Niech pan jednakże uprzytomni sobie tę drogę w myśli, aby nie było niemiłych niespodzianek. Ot, właśnie stoimy przed moim hotelem. Niech pan idzie ze mną na górę i spróbuje mi opisać wszystkie ścieżki i przejścia, które ja odrysować spróbuję. Godzina taka, spędzona z ołówkiem w ręku, zabezpieczy pana może przed pomyłką, przez którą stracić pan może kilka minut czasu.

— Doskonała myśl! — przytaknął Hickory. — Zabierajmy się do roboty natychmiast!

W kilka chwil później obydwa detektywi siedzieli w pokoju Byrda, przed stołem, założonym wielką ćwiartką czystego papieru.

— No, dalej! — rzekł Byrd. — Niech pan opisuje, a ja w miarę rysować będę.

— Dobrze! — odpowiedział Hickory, pochylając się, by śledzić ruchy ołówka rysownika. — Wychodzę przez drzwi jadalnego pokoju, niech pan kwadratem naznaczy Białą Domek, na dole zaś kartki niech pan zaznaczy drogę, którą przebywać będę. Tak, doskonale! Dobiegam do furtki, prowadzącej na moczary, przeskakuję ją jednym susem, aby zyskać na czasie, przebiegam moczary i dochodzę do brzegu lasu.

— Dobry początek — zauważył Byrd, kreśląc linie potrzebne. — Cóż dalej?

— Staram się wcisnąć w las, tam, gdzie drzewa są mniej gęste, znajduję ścieżkę, która lekko zakręca w prawą stronę i która prowadzi mnie do polanki. Teraz mała elipsa dla polanki i punkt, oznaczający szopę węglarzy. Tutaj zatrzymuję się chwilę...

— Poco?

— Aby wejść do szopy.

— W jakim celu?

— By zabrać walizkę, którą zamierzam tam złożyć wieczorem.

— Walizkę?

— Oczywiście! Dlaczego się pan tak dziwi? Morgan przecież miał przy sobie wielką tekę skórzaną, zawierającą jego model.

— To prawda, ale...

— Ta teka musiała mu przeszkadzać w ucieczce. Muszę więc także obarczyć się czemś podobnem, aby być w tej samej sytuacji, co i on. No, cóż, nie przyznaje mi pan słusności?

— Przypuśćmy.

— Teraz dalej... Wychodzę jak najspieszniej z szopy i wchodzę do lasu ścieżką, znajdującą się z tyłu... Ale Byrd, cóż to pan robi... nie tak, jak mówię...

— Notuję kilka pobocznych punktów! — rzekł spokojnie detektyw, którego ołówek biegał z szaloną szybkością po przeciwnej stronie kartki.

— Cóż takiego?

— Oto najprzód ścieżka, którą szedłem w pierwszych moich poszukiwaniach. Prowadzi do West-Ridge. Tędy to przyszła miss Darnell w dzień burzy. A teraz, poczekaj pan, muszę jeszcze zaznaczyć willę Darling, skąd rozciąga się widok na całą dolinę.